

## Wymiary sukcesu

Dzisiejsze czasy, choć kiedy sięgnę pamięcią do przeczytanych nie tak dawno książek z „minionej epoki”, to odnoszę wrażenie, że nie tylko one, choć one najbardziej, przesycone są słowem „sukces” i wszystkimi jemu bratnimi i z nim spokrewnionymi frazami. Czy zatem mogę stwierdzić, że żyjemy w wieku sukcesu, skoro na każdym kroku odnoszenia sukcesów od nas wymagają, do odnoszenia sukcesów zachęcają, nawet prowokują, i to począwszy niemal od urodzenia... W końcu, czy nie słyszę od czasu do czasu, rozmów młodych mam na ulicy czy w tramwaju, które chwala się pierwszym znaczącym sukcesem swoich potomków: „Mój Piotruś już w ósmym miesiącu postawił pierwszy kroczonek, najszybciej spośród dzieci znajomych.”

Żałuję tylko, że ja nie mogę pamiętać swojego pierwszego kroku, pierwszego słowa i radości rodzicieli z tych moich małych, wielkich triumfów, ale mimo tego uważam swoje dotychczasowe życie za pasmo sukcesów. Śmiała teza, nieprawdaż? Ale czy nie jest to czysta prawda – by udowodnić, podam tylko kilka przykładów z ostatnich lat – pierwsza miłość – tu akurat sukcesem było udane zerwanie, zdanie egzaminu na prawo jazdy – cóż, że nie za pierwszym razem, matura – no może nie było 100% z matematyki, ale co tam, dostałem się na studia – nawet te zaplanowane. A o tym, że pomiędzy tymi sukcesami były i niepowodzenia – pamiętam, lecz nie rozpamiętuję, ale wyciągam wnioski, tak mi się przynajmniej wydaje.

Wszystko według planu, słodycz sukcesu zdecydowanie dominuje nad goryczą porażki, dążę do celu, zmierzam ku gwiazdom, tylko czasem się zastanawiam, czy nie wabią one w nicość, nie oślepiają swoim światłem, tego, co najważniejsze. Jak wynika z powyższych akapitów coś w tym chyba jest, bo jak na razie piszę tylko o sobie – ja stuprocentowy egocentryk. Gdzie w tym wszystkim sukcesy rodziny i przyjaciół – czy to nie one powinny mnie cieszyć, co najmniej tak samo, jak własne... Cieszę, ale czy bardziej? Gorzej, gdy mój sukces okupiony jest porażką np. przyjaciela – mimo wszystko jednak zadowolenie przeważa – taka już natura, i to nie tylko moja, niestety.

Tak to już jest, że żyjemy i umieramy jako istoty społeczne, jak kto woli, zwierzęta stadne. Odczuwamy potrzebę akceptacji. Głęboko wierzę, że gdybyśmy nie mieli z kim dzielić się wieścią o sukcesie, to nie odczuwalibyśmy tak silnego pragnienia jego odnoszenia, nagle cele wielkie straciłyby swoją rangę, zniknęłyby we mgle smutku i samotności. Dlaczego? Bo lubimy być pochwalani, podziwiani, tylko nie zawsze to okazujemy (nazywają to skromnością).

Nie raz zastanawiałem się nad zagadnieniem sukcesu i jego wymiarów obserwując znajomych – posiadaczy psów. Tresują oni swoich czworonożnych przyjaciół: uczą ich aportować, siadać, tarzać się na żądanie itp. Wreszcie po wielu próbach, stosowaniu zachęt w postaci psich ciasteczek czy innych frykasów, zwierzę wykonuje polecenie. Czyj to jest sukces – tego który nauczył (człowieka), czy może tego, który wykonał (psa)? Dotąd się zastanawiam i nie wiem, ale zastanawiać mogę się dalej...

W tym miejscu dochodzę do zagadnienia „przynależności” sukcesów. Znane jest przecież wszystkim przysłowie: „Sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą”. No właśnie – a czy jako sukcesu nie powinniśmy traktować samego podjęcia próby wykonania czegoś, czegokolwiek, co sobie zaplanowaliśmy? W ten sposób tworzę nową definicję porażki: mniej przyjemny gatunek sukcesu. I tu przychodzi mi na myśl, słuszne to skojarzenie, bądź nie, tytuł utworu Elizy Orzeszkowej – „Gloria Victis” – Chwała Zwyciężonym. Obym tylko zbyt często nie musiał się tym tytułem pocieszać...

Koniec bliski (koniec eseju, koniec roku, może nawet koniec świata), więc czas na krótkie podsumowanie, ale na pewno nie na koniec rozważań o wymiarach sukcesu, bowiem nie wszystkie dało się przedstawić, co najwyżej o nie zahaczyć, zawadzić myślą o ten kant niezmiernego stołu na którym jak talerze ustawione obok siebie: mniej i bardziej znaczące, odnoszone indywidualnie lub w kolektywie, nasze i innych sukcesy zawodowe, towarzyskie, sportowe etc.